Rozmaitości

Dnia 14. Maja — Nr 20. — 1836 Roku.

KARNAWAŁ W MARSYLII.

Przez Leona Gozlan.

Do miast, które nieustający mają karnawał, niewątpliwie Marsylija należy. Każdego dnia, każdéj godziny napływają do jéj portu i snują się po jéj ulicach, ze wszystkich końców ziemi roje charakterystycznych masek: tu kaftan z Konstantynopola, tam turban z Tunetu, ówdzie buchaste spodnie żeglarza z Dieppe, opięta tunika majtka perskiego, gęsta długa, oryjentalna i gołowłosa broda mieszkańca krain za Gangesem, a do tego owa dziwna mieszanina języków, która z niczém porównać się nie da. Genueńczyk, kiedy mówi, zaciska usta, jak pies, który swéj kości puścić nie chce; Neapolitańczyk rozdziawia je, jak pies, który kość wypuszcza, Sycylijańczyk rży, Sardyńczyk i Rossyjanin wyje, Wenecyjanin szczebiocze, Maltańczyk chrypié, Turek peroruje. Choćbyś sobie uszy zatkał, przecież nie unikniesz jestów Hiszpana: mieszkańca Barcellony, Malagi i Minorki, u nich bowiem, ile palców, tyle języków. A choćbyś jeszcze i oczy zamknął, przecieżbyś ich węchem poczuł: Bretończyka po sztokfiszu, Normandczyka po śledziach, Araba po piżmie, Turka po ambrze, Indyjanina po wanilii, którą żuje, a Malajczyka po cynamonie. Czémże jest balet *Gustav* na operze w Paryżu, ze swojémi papiérowémi Turkami, Chińczykami, Grekami, wyprawiającémi tańce w różowym atłasie, w porównaniu z Hiszpanami, Anglikami, Amerykanami, Rossyjanami, Persami, którzy wprawdzie nie tańczą, ale których tu rzeczywiście widzimy.

Dla tego podczas karnawału w Marsylii bardzo mało przymnaża się kostiumów, bo prawie rok cały trwa tu maskarada. Jeżeli ulicą idzie 20 Turków, mówimy obojętnie: oto idzie 20 Turków; i dosyć na tém. Jeżeli owych dwudziestu Turków zagada po turecku, odpowiedzą im po turecku. Cała nowość zasadza się na tém, iż od czasu opanowania Algiéru przez Francuzów, nawet Beduin stał się tu domowym gościem. Karnawał więc w Marsylii jest to starożytny obyczaj, bez wszelkiéj oryginalności. Innéj nie widać tam maski prócz *polliszynella* i *domino*.

Karnawał ma jeden tylko dzień piękny, to jest dzień swego pogrzebu; i to tylko taki sposób mówienia, bo karnawał bywa palony, t. j: że jeszcze płonącego rzucają w morze. Takowe pogrzeby zwykle z wielką obchodzą okazałością, pośród tłumu mieszkańców, wybladłych trudami ostatniéj nocy.

Orszak pogrzebowy nieboszczyka karnawału ciągnie się wzdłuż przepysznéj ulicy, która nazywa się *Arene*. Po jednéj stronie onéj wznoszą się wysokie domki na pochyłości wzgórza. Wzgórek ten z swojémi pstro malowanémi szynkowniami, z ochoczą rzeszą pijących, jeżeli nań patrzysz od portu, zdaje się cały żyć i poruszać. Tak więc po prawéj stronie ciągnie się szczére pole, a po lewéj morze. I jakie jeszcze morze! Śródziemne. Od świtu środy popielcowéj *Arene* okryty jest długim rzędem powozów. W Longschamps same spanialsze zaprzęgiem i świetniejsze, tu zaś tylko więcéj rozmaitsze ujrzysz powozy. Jedne wyglądają jak z łoziny plecione półkoszki; drugie jak muszle, jak łodzie, jak skórzane pugilaresy, a w każdym cała rodzina gniezdzi się, i ciasno siedzi jedno na drugiém. Dzieci sadowią zwykle na prodzie ekwipażu, aby się nie podusiły, słudzy towarzyszą konno dla ochronienia od wywrotu, lecz wywrót jest

tu niepodobnym. Koń od wozu, idącego z tyłu, kładzie głowę na zadzie piérwszego wozu, i usypia prawie w tym żółwim pochodzie, tak samo radzi sobie koń trzeci, tak samo i reszta aż do ostatniego, tak, że wszystkie razem tworzą nieprzerwany łańcuch, ciągnący się dwie dobre mile.

Morze nie mniéj rozmaity przedstawia widok. Rój małych malowanych, chorągwiami ozdobionych łodzi z adamaszkowémi namiotami wcześnie wypływa z portu. Każda łódź niesie pełno weneckich masek. Nagle wszystkie zawracają się do zatoki *Arene* i maski swoje wysadzają na brzég. Na brzegu zatoki panuje nadzwyczajna czynność: restauratorowie ulicy *Arene*, słynni sporządzaniem wybornem ryb i innych źwiérząt morskich, w dniu tym otwiérają wiosenne swoje gospodarstwo. Rybackie czółna wyrzucają sieci ryb pełne na ląd, które natychmiast sprawiają kucharze i we wrzącą wrzucają oliwę. Podczas marsylskiego karnawału pływacy rzucają się w morze, chociaż o tym czasie pan Chevalier umieszcza w dzienniku paryzkim stopnie z uwagą, że jeszcze chodzą po zamarzłéj Sekwanie. Jednakże Marsylija, to miasto imaginacyi, nie przestaje na samém tylko udaniu pogrzebu. Trup mięsopustny, jestto jak rzeczywista istota, uosobniony w właściwym sobie stroju, z właściwém sobie nazwiskiem: *Caréme entrant.*

Przed rewolucyją *caréme entrant* byłto słomą wypchany filozof, pod pachą trzymający Rousseau*a*: *Contract Social*, z którym go razem na brzegu morskim palono. W czasie rewolucyi *caréme entrant*, zostawszy filozofem, przeszedł na stronę konającego ludu, i palono to, przeciw czemu filozof powstawał; pod cesarstwem byłto szlachcic, nadziany rodowodem; pod restauracyją byłto w rakowéj sukni Anglik, ktory za wszystko odpowiadał. Kogo dziś palić będą, kiedy nié ma ani rewolucyi, ani cesarstwa, ani restauracyi? Nie wiém.

Kiedyś, może lat temu nie wiele, bo któż pamięta lata, marsylijskie kończyły się zapusty przy skrzypkach i hucznych basetlach. Dano znak we dzwony, że już ostatni dzień zapust: szczytna to chwila, w któréj wszystko nowego nabiéra lotu, zapału, ten nawet, który dotąd, czyto z oszczędności, czy z uczucia obowiązku, wstrzymywał się od powszechnéj uciechy i ten rzuca się w odmęt szaleństwa ostatniéj, najświetniéjszéj, najrozkoszniéjszéj nocy; narzuca na siebie czarne *domino*, lub bierze szachowaną maskę *arlekina* lub *poliszynella*. Taka sama ochota między innymi, zebrała raz pewnego członka bractwa czarnych pokutników (wnet o tém bractwie powiémy), który wybrał się do sklepu wynająć sobie piękny axamitny strój *poliszynella*. Lecz zaczynajmy od bractwa czarnych pokutników. Marsylija liczy dziesięć, czy dwanaście zgromadzeń religijnych, nie związanych żadnym ślubem, żadném wyznaniem wiary, ni obowiązkiem; sąto pokutnicy biali, czarni, czerwoni, szarzy. Pod kapicą ukrywają się kupcy, tragarze, maklarze, którzy, aby nie dać się poznać w dobrodziéjstwach swoich, ukrywają twarze i postacie pod suknią pokutniczą, długą, zwykle z kolorowego płótna, ściśniętą paskiem, u końców którego dwie trupie kości wiszą, głowę nakrywa spiczasta kapica z dwoma otworami na oczy. Pokutnicy ci mają staranie o chorych, o więzniach; bezpłatnie ubogich grzebią, a na śmierć skazanym w ostatniéj godzinie na rusztowaniu służą. Czynności ich są szlachetne i wielebne; lubo ubior nieco odstraszający — w nocy kobiéty uciekają od nich, lękając się spotkać z ich szczękającémi kościami, z ich suknią szeleszczącą i z ich latarnią, którą noszą na końcu długiego czarnego kija.

Nasz *poliszynello* należał do bractwa czarnych pokutników. Jeszcze on młody, uciechy karnawału przemawiają mu do serca, w uszach brzmią dzwonki, cepki arlekinów klaskają po ramieniu; niepokonana rozmaga się do tańca ochota; a wiémy, że żadną siłą Marsylczyka od tańca nie wstrzymasz.

Przełożony nad czarnymi pokutnikami, starał się odwieść go od podobnéj myśli. Braciszek przyrzekł to i odtąd pilnie był strzeżony. Jednakże aksamitna maska *poliszynella* nieustannie siedziała mu w głowie; ciągle siebie w niéj widział; jak szalał, jak tańczył, a wybornie tańczył *poliszynello*. Mężnie jednak walczył z pokusą aż do ostatniego wtorku; lecz w ostatni wtorek musiał jéj uledź. Zapusty aż nadto były piękne i ochocza po wszystkich ulicach brzmiała uciecha. Czarowne córki Południa w rozkosznych lekkich pląsach, przeciągają tuż przed jego oknami, wabiąc go do igraszek i tanów koła. Trudno już walczyć, w mgnieniu oka

pokonał on przyrzeczenia i skrupuły; jednym skokiem wpadł do wypożyczającego maski, targ w targ za trzydzieści franków najął strój *poliszynella*, ubrał się żwawo i zmieszał się z falami kołysającej się karnawałowej rzeszy. Wyborniéj, jak tą razą, nigdy *poliszynella* nie tańczono, bo diabeł nic po połowie nie czyni. Nasz braciszek, chociaż mu już i podeszwy odleciały, tańczył do upadłego. Tańcz! tańcz! nie wiész o tém, że oko czarnego pokutnika poznało cię i patrzy na ciebie z boku!

Rano o trzeciéj powrócił zmordowany do domu, w noc ciemną marcową, i rozebrawszy się upadł senny na sofę... Lecz co znaczy ten hałas, co ta światłość bijąca w szyby? Zrywa się, wyobraża sobie, że spi, że marzy... natęża uwagę. Ale niestety! jużto nie jest złudzeniem. Sześciu pokutników przy spiéwie łacińskich psalmów, zatrzymuje się przy drzwiach domu. Otwiérają wytrychem; już słychać idących po schodach. Okropność! już światło miga w szczelinach drzwi izby. Już pukają; jednakże braciszek nasz nie łatwo się ustrasza. Jest on rozebrany; na jakąż myśl wpada! Oto ubiór *poliszynella* kładzie w swoje łóżko, oto z pod kołdry wystawia nos papiérowy, szpiczasty podbrodek i czapkę; a sam naciągnąwszy prędko szatę pokutnika, otwiéra im drzwi, za któremi ukrywa się niepostrzeżony i miesza się między sześciu wchodzących braciszków. Sześciu pokutników otacza łoże; spojrzenia ich gniewne padają na bezbożnego *poliszynella*, oddającego się uciechom światowym. Wszczynają modlitwę pogrzebową, skrapiając maskę wodą święconą. Ale w tém jeden zawoła:

»Bracie! wielu nas było, kiedyśmy wyszli z kaplicy?« — »Sześciu,« odpowiedział drugi. — »I ja tylu liczyłem; ale policzmy się raz jeszcze: Jeden, dwa, trzy, tyleż po drugiéj stronie łóżka; aleź, przez Boga, jeszcze jeden więcéj! Siedem!«

Znowu zaczął rachować, i znowu siedem! Trwoga wszystkich opanowała; wszyscy liczą, i zawsze siedem! Liczba złowróżba! Strach pokutników ogarnia; żaden już nie myśli o *poliszynellu*, który zdawał się usypiać snem sprawiedliwych.

Braciszkowie zabiérają się do ucieczki, ale niestety! klucza nié ma... Aż jeden, czy odważniéjszy, czy tchórz większy od innych, poświęca się i skacze przez okno na pół piętra wysokie, za nim drugi i trzeci, i wszyscy sześciu. W izbie, jak wymiótł. Jeden tylko się został, który okno zamykając zawołał ponurym głosem: »*Beati qui moriuntur in Domino.*«

Dwóch braciszków umarło w skutek tego mięsopustnego żarciku. —

W Paryżu, i gdzie indziéj, popielec przechodzi niepostrzeżony prawie, i nie zostawia żadnego śladu skruchy i umartwienia na twarzach mieszkańców. Przeciwnie w Marsylii, w dniu tym na każdém obliczu postrzeżesz ślady popiołu, który jednakże łatwo wiatr rozwiéwa. Szczególniéj gmin jest tam najfanatyczniéjszy, i jeżeliby kiedykolwiek Francyja miała być podzielona, natenczas Marsylija z równą łatwością zostałaby włoskiém lub hiszpańskiém, jak Kalet angielskiém miastem. Basza egipski liczy 6,000 poddanych w Marsylii, którzy osobne zamieszkują przedmieście, którzy po arabsku mówią, przy blasku gwiazd, lulki palą, a ogrody zasadzają ogórkami. Katalończykowie również zamieszkują osobną dzielnicę. Grecy mają swój *fanar*, gdzie dzielą się na prawowiernych i nieprawowiernych, nienawidząc się nawzajem.

W czasie środy popielcowéj kościół Śgo Wiktora najliczniéj odwiédzany bywa, a to z powodu cudownego obrazu, który się tam znajduje. Kościół Śgo Wiktora był niegdyś opactwem. Podczas rewolucyi zburzono go i na jednéj części placu wystawiono fabrykę tabaki. Za rządów cesarstwa wzniosła się tuż pod bokiem fabryka sody. Restauracyja sprzedała resztę opactwa fabrykantowi saletry, tak, że teraz tylko sam kościół pozostał. Wstąpmy na oczernioną wieżę, należącą do niego, cudowny ztąd widok. Wernet w zbiorze swoich widoków morskich umieścił także port marsylski; lecz najcharakterystyczniéjszéj tego morskiego miasta własności, to jest: zgiełku i zapachu, nie zdołał pędzlem wyrazić. Człowieka poznasz z postaci, a miasto nadmorskie z nieustannego zgiełku i zapachu. Przez całe dnie, od początku do końca roku, słyszysz tylko skrzyp powrozów na windach, wrzask morskiego ptaka, ulatującego nad portem, łoskotny brzęk blachy, przygwożdżanéj do belków okrętowych, stuk młota, spadającego na kowadło, szczęk toporów ociesujących dęby na budowlę i krocie pomieszanych głosów majtków i sterników. Nad wszystkiem tém górują dźwięki dzwonów

okrętowych i dzwonnic kościelnych, a nad dzwonami szum i świst północnego wiatru. Nie mniéj ważną zapach odgrywa tu rolę, bo każdy do innego tu kraju należy. Tu zapach beczek z ryżem przypomina rozległe łany Karoliny; tam stosy żółtego cukru, wyspę Martynikę i jéj plantacyje, a ówdzie skrzynie z cynamonem, wyspę Ceylon.

Spojrzyjmy z wieży po téj obszérnéj dolinie, a postrzeżemy kilku-dziesięciu robótników, którzy powoli składają jakiś kościotrup anatomiczny, zdający się być z wszelkiego mięsa obranym. Jestto kościotrup okrętu.

Tuż pod nami znajduje się fabryka goździ. Te Cyklopy, w zatłuszczonych fartuchach, którzy kują lub leją goździe, do tego przyszli, iż własne swoje okręty mają już na Oceanie. Tam przygotowują kłaki z konopi dla zapychania szczelin między tramami, od czego całe bezpieczeństwo statku zależy. Po owéj stronie kurzy się z kotłów, w których topią smołę do zalewania szczelin, zatkanych kłakami. Patrzmy; dniem i nocą ogień trwa pod kotłami, i wszystkie czerpią z nich okręty, jak ze wspólnéj misy. Każdy naród maca w nie gąbkę swoję lub pęzel. Wzbijająca się z nich czerwona para jest prawdziwém kadzidłem dla handlowych narodów.

Nakoniec jeżeli okręt zostanie wylany smołą, okręt tak wielki, który 1000 bal bawełny z Nowego-Jorku, 600 beczek wina i 50 podróżnych z 30 majtkami pomieścić może, i natenczas niechaj kto pal wyjmie, który go utrzymuje, a okręt, jako słoń tryumfujący, zanurzy się w morze, jak gdyby się po tylu ogniach, przez które w czasie budowania swego przechodził, ochłodzić pragnął.

Ztąd także widzieć możemy cały mechanizm, za pomocą którego najłatwiéj jest maszt sto-stopniowéj długości dźwignąć i zatknąć w okręcie. Maszt ten przybył z Rossyi; maszt ten opłynął Morze Lodowate, Północny Ocean i Morze Śródziemne, a jednak nie sam on przybył, towarzyszył mu las cały, który tam w dole, pod naszémi nogami nie stoi, lecz leży. W porcie tym znajdziesz maszty na 1,000 okrętów. Ileż ich burz jeszcze czeka, kiedy teraz, dzieci na nich się bawią!

Maszty bez lin i żagli obejść się nie mogą. Na przeciwległym brzegu ciągnie się rząd domów, które się wydają jakby na kotwicy stanęły, tak blizko przyparły do morza. Daléj biją nas w oczy białe smugi, jak w bléchu; są to żaglowe składy, gdzie kobiéty na stopę długiémi igłami zszywają płutna na żagle. Po téj stronie brzegu ciągnie się warsztat lin i powrozów, które są nerwami i żyłami okrętu; znajdziesz tam wszystkiéj grubości powrozy, zacząwszy od drobnego sznurka do liny objętości ramieniu mężczyzny, która dźwiga kotwicę, i dosyć ma siły do przytrzymania okrętu śród nawalnéj burzy. Daléj na prawo, zkąd ogniste iskry aż do nas skaczą, kują się kotwice, leją się działa okrętowe. Wszystkie rękodzieła w Marsylii żyją z budowy okrętów; zacząwszy od cieśli aż do tego, który okręty asekuruje od burzy. Dla Marsylii każdy okręt jest arką, bo wiezie wszystkich mieszkańców nadzieję. Utrzymują, iż pośrednictwo Najś. Panny czarnéj miało niegdyś wpływ wielki na pomyślność nowo-wybudowanych statków wywiérać. — Pozdrówmy ją pobożnie w jéj posępnym wilgotnym przybytku. Już wspomnieliśmy, iż środa popielcowa jest dniem, w którym najuroczyściéj lud zgromadza się przed jéj ołtarzem. Ozdób i bogactw nie widać tam żadnych, bo jéj rywalka *Notre Dame de la Garde*, zabrała je dla siebie, a to zielonawe światło, palące się u jéj podnoża, przed 50 laty oświécało osobliwe zdarzenie, które dotąd żyje w ustach pobożnego ludu:

Zapusty już się skończyły. Północ tylko, co wybiła z wieży Sgo Wiktora. Prawowierni w skrusze i żalu za popełnione szaleństwa w czasie dni bachusowych przed Najś. Panną czarną, padli na kolana, dla przyjęcia świętego popiołu, który im przypominał, że z czego człowiek powstał, w to się obróci. Ponura zielonawa gromnica rzucała niestały połysk na wycieńczone tańcami i skruszone twarze. Kapłan popiołem umarłych posypywał obecne osoby, między témi znalazł się jeden mężczyzna, który swoję maskę zatrzymał. Zdawało się, iż wtedy wzrok obrazu i blask zielonéj świécy, padały osobliwie na czoło tego grzesznika. Aby go od wiecznego zbawić potępienia, kilku z bliżéj klęczących prawowiernych, szepnęło mu do ucha, zwracając jego uwagę na nieuszanowanie świętości tego przybytku, albowiem sądzono, iż to przez roztargnienie uczynił; lecz on odrzucił napomnienie i z pod maski szyderczym od-

powiedział śmiéchem. W chwili kiedy przystępował dla przyjęcia świętego popiołu na grzészne czoło, kapłan się cofnął, upominając go, aby bezbożną maskę zdjął z twarzy; lecz grzésznik odpowiedział znakiem przeczenia, a kapłan, wśród zgrozą przejętych obecnych osób, posypał maskę popiołem, który był przeznaczony dla oblicza chrześcijanina. — Nie na tém koniec legendy: Rozpustnik, wyszedłszy z kościoła, ażeby wolniéj oddychać, chciał zdjąć maskę z twarzy, lecz niewidzialną mocą uczuł ją przyrośniętą do ciała. Daremne były wszystkie jego usiłowania; palce z początku ślizgały się po gładkiéj powierzchni, a gdy w rozpaczy zarył w nią paznokcie, krew tylko lała się z twarzy jego, ale maskę odedrzéć nie było podobna, bo zamieniła się w skórę i ciało. Człowiek ten skazany na wieczną maskaradę, któréj ani przy stole, ani we śnie pozbyć się nie mógł, dostał pomieszania zmysłów, i umarł z ran, które sobie własnémi paznokciami zadał.

MIŁOSTKA
NAPOLEONA PORUCZNIKA.

— Przez jenerała M.* —

Bonaparte lubił marzyć, dumać, jak romantyczny kochanek. Często widziałem go jak stał i patrzył w zachodzące słońce, oczyma w niebo wzniesionemi; on, człowiek, tak rzeczywistością, tak wielkością zajęty, długo, i bardzo długo chował namiętną miłość dla Józefiny; każdego wieczora, nim poszedł do łóżka, portret swojéj małżonki stawiał przed sobą. Czesto w parku Malmezońskim zatrzymywał się, i przysłuchiwał dzwonom, wzywającym na modlitwę wieczorną w poblizkiéj wiosce; on, którego obwiniano o hipokryzyję religijną, nie lubił kobiét, które się nie modliły, i porównywając Włoszki z Francuzkami, przenosił piérwsze, bo te przynajmniej ze skruszonem sercem za grzéchy żałują, gdy przeciwnie tamte, tylko na teatrze i w romansach grzéchów nienawidzą.

Następujący rys skreśli wyraźniéj tkliwość jego dla płci pięknéj:

Obadwaj byliśmy w Tulonie, on miał stopień porucznika, a ja sierzanta; najściśléjsza łączyła nas przyjaźń. Pewnego wieczora Bonaparte, który naśmiéwał się z mojéj słabości do kobiét, przyszedł do mnie i rzekł w bardzo krótkich wyrazach: »Ludwiku, zakochany jestem.« — »Zakochany!« powtórzyłem.

»Szalenie zakochany w małéj dziewczyncę, która za wałami mieszka. Nic nie posiada więcéj, jak czarującą piękność, jak umysł najlepiéj ukształcony... po kilka godzin z nią przepędzam, aby ją słyszéć, aby w jéj ciemne oczy patrzéć, i śliczną kibić podziwiać. Nade wszystko ma piękną rączkę i nóżkę.«

»A onaż kocha ciebie?«

»Szalenie! jak prawdziwa Włoszka, zapamiętale, bez powierzchownych ozdób i nie tak, jak nasze dobrego tonu damy, które piérwéj patrzą w źwierciadło, czy im strój do twarzy, a potém przymilają się kochankom!«

»Ach,« rzekłem, »musito być czarująca istota!«

»Prawda, to anioł; ale jéj matka, nie uwierzysz jak mię krótko trzyma. Onegdajszego wieczora, oddaliwszy swoję córkę, rzekła do mnie: »Bonaparte! wćpan kochasz Naddi?« nie odpowiedziałem nato, a ona: »Wćpan ją kochasz... a więc przestań u nas bywać, albo przysięgniéj, że do niczego złego dziécię moje nie doprowadzisz. W naszém ubostwie zostaje jéj tylko praca, i cnota nieskażona. Przysięgłam jéj ojcu, gdy umiérał, że pokąd ja żyję, Naddi nie zejdzie z drogi uczciwéj. Dotrzymam, com przyrzekła, nawet gdyby mi przyszło użyć sztyletu. Ale pewną jestem, że rzeczy nie pójdą tak daleko... a zatém albo nie bywaj tu więcéj, albo przysięgniéj.«

»Przysiągłem,« mówił daléj Bonaparte, »i odtąd unikam jak mogę pięknéj Naddi, ale jakże jestem nieszczęśliwy!«

»Jakżeś się poznał z twojém bóstwem?«

»Oto chciano znieść dworek jéj matki; mnie wyznaczono do téj komisyi, lecz ja znalazłem, iż dworek ten nie stoi na zawadzie pracom około twierdzy, ta okoliczność ułatwiła mi wstęp do jéj domu.«

Przez kilka dni Bonaparte był zadumany, smutny, w końcu zapytał mię, jakie jest moje zdanie o małżeństwie z miłości?

»Dla człowieka,« rzekłem, »który za sławą nie goni, małżeństwo z miłości jest szczęściem; lecz temu, który się za nią ubiega, związek taki staje się przeszkodą w zawodzie.«

»Święta prawda!« odpowiedział mi — i nie widziałem go przez dwa dni; trzeciego napisał do mnie bilecik z prośbą, abym go chorego odwiedził. Poszedłem.

Zastałem go siedzącego przed imbrykiem kawy, z którego co ćwierć godziny filizankę napełniał i wypijał. Zrobiłem mu uwagę, iż to jest napój szkodliwy w jego chorobie.

»Muszę raport pisać,« odpowiedział mi, »do tego potrzeba mieć głowę wolną; kawa najlepszém jest na to lekarstwem.«

»Więc twoje kochanie nie najlepiéj idzie?«

»Przeciwnie; już by wszystko pomyślnie się skończyło, lecz szczęściem umiałem nad sobą panować.« Spostrzegłszy moje zadziwienie i wzrastającą ciekawość, tak mówił daléj: »Onegdaj udałem się do wdowéj, nie było jéj w domu, zastałem tylko Naddi hożą, powabną, rozkochaną. Z początku trzymałem się od niéj opodal; odpowiadałem oziębłe i obojętnie, lecz ona rozpłakała się, i wyrzucała mi niestałość i nieczułość. Nie mogłem dłużéj wytrzymać; uspakajam ją, pocieszam, i Naddi rzuciła się w moje objęcie... w tém zachwyceniu przyrzekam jéj, że się z nią ożenię; nie wiém, jak mi się to słówko wymknęło, lecz Naddi, uchwyciwszy za rękojeść méj szpady, rzekła: ›Przysięguiéj mi to na ten znak honoru, że dotrzymasz, coś wyrzekł.‹ Na te słowa zadrżałem; szczęściem miałem dosyć mocy zostania poczciwym człowiekiem, i odpowiedziałem jéj, że przysiądź nie mogę. Jednakże Naddi nie przestawała okazywać mi swojéj czułości, bo żadna przeciwność nie wstrzyma kobiéty, jeżeli tylko prawdziwie kocha. W końcu potrafiłem wymknąć się pod jakimeś pozorem od rozkochanéj dziewczyny. O kilka kroków od domu spotykam jéj matkę, i opowiadam rzecz całą. Podziękowała mi, i żądała, abym już odtąd nigdy Naddi nie widział: »Ale,« dodała przytém, »biédne dziécię moje umrze z rozpaczy i tęsknoty; o gdybym była w stanie wrócić do Florencyi; podróż, przemiana miejsca, mogłyby ją z tych cierpień uleczyć.« — »Jeżeli mi pani chcesz dowieść,« rzekłem, »że masz cokolwiek szacunku dla mnie, przyjmiesz ode mnie, mały zasiłek, który cię do celu doprowadzić może. Powiedz tylko Naddi, niech o mnie czasem wspomina.« Dzisiejszego poranku posłałem jéj mój żołd trzech-miesięczny.

Później, kiedy ten wielki człowiek stał na wójsk czele, kiedy objął tron najpiękniéjszy w świecie, wspomniałem mu pewnego razu o Naddi.

»Ach,« zawołał, »byłato prawdziwa, silna miłość, jakiéj odtąd już nigdy nie znałem; lecz wtedy byłem tylko porucznikiem.«

POGRZEB KRETA.

Z pamiętnika badacza przyrody.

Jeżeli w pięknym dniu letnim wyrzucisz nieżywego kreta na grzędę, a potém w pewném oddaleniu będziesz czatował, natenczas za ćwierć godziny postrzeżesz zlatujące się wielkie mnóstwo małych, okrągłych *koleopterów* (twardoskrzydłatych owadów) koloru czarnego, wpadającego w ciemno-zielony. Sąto bronzowe chrząszcze (*hister aeneus*), które się trudnią toaletą nieboszczyka. Najprzód podłażą pod brzuch jego, kładą tam wielką ilość jaj, potém gnieżdżą się w gęstém futrze, które ogałacają z włosa kosmykami, nie wyskubując takowych, tylko za pomocą swoich cienkich pyszczków formalnie wygalając. Mali ci fryzyjerowie pracują tak pilnie, jakby przewidywali, że czas dla nich jest drogi, i że wkrótce rzesza strasznych konkurentów opanuje to zwierzątko, i którego puchem wyściela kolebkę dla swego potomstwa. I w rzeczy samej, takie jest tego puchu przeznaczenie: z kilkoma grudkami ziemi zmieszany, tworzy gałeczkę, w któréj środku jaje chrząszcza oczekuje swego wyklucia.

Po kilku godzinach przyleciało mnóstwo innych *koleopterów*, mających na pół cala długości, a których czarne skrzydła przyozdobione są dwoma paskami pięknéj pomarańczowéj barwy. Sąto tak zwane *grabarze* (*necrophorus vespillo*). Za ich przybyciem, wspomnione chrząszcze zmuszane bywają do ucieczki, i to czasem wprzód jeszcze nim ukończyły postrzyżyny futra nieżywego kreta. Owady te łączą się kupkami w troje lub pięcioro, nigdy ich więcéj lub mniéj razem nie obaczysz, i zabiérają się skrzętnie do pogrzebin trupa, wiedzą albowiem, iżby bez téj ostrożności duże czarne muchy podzieliły się z niémi mięsem kreta. Najprzód oglądają z uwagą całego nieboszczyka, jak gdyby tym sposobem podług objętości jego ciała, objętość grobu wymierzyć chciały; poczém probują ziemię, aby wiedzieć, czyli na tém samém miejscu pogrzeb odprawić można. Jeżeli ziemia zbyt kamienista, natenczas podłażą pod kreta i zjednoczywszy wszystkie siły, posuwają takowego naprzód, dopóki nie wynajdą miejsca do pogrzebu przydatnego. Daléj główkami swémi i piersiami podnoszą trupa do góry, rozkopując tymczasem raźno ziemię swémi przedniémi nóżkami, i wkrótce potém widać już na około kreta nasypkę wyrzuconéj ziemi, która się coraz bardziéj powiększa. Zwłoki kreta zapadają się powoli z przodu lub tyłu, i coraz głębiéj w ziemię się chowują, nie zmieniając przytém dawnego swego położenia. Jeżeli się w tém nieprzywidziana trudność nanadarzy, jak np: kamyk lub korzonek, zaraz jeden z robotników robotę porzuca, idzie na upatrywanie przedmiotu zawadę tworzącego, i szybko nazad powraca. Zaraz potém wszyscy całą przykładają usilność, aby ową trudność usunąć. Zdarzało się, iż czasami umyślnie wprawiano grabarzów w kłopot, przywiązując kreta do kołka, zatkniętego w ziemię. Lubo te zwierzątka najpilniéj kopały, przecież trup z miejsca ani się ruszył. Ale wkrótce

podkopały ów kołek i zniweczyły tym sposobem psotę, jaką im wyrządzić chciano. Jeżeli już dołek tak jest głęboki, że się weń zwłoki kreta zmieścić mogą, wtedy posypują go nekrofory cienką warstą ziemi. W przeciągu 10 godzin dopięły już swego celu, po drugich 10 godzinach leży już kret do pół stopy głęboko w ziemi, a w 48 poźniéj pokryty już jest pokładem ziemi na półtoréj stopy. Teraz dopiéro nadchodzi chwila godów i wesela. Skoro tylko samiczki są zapłodnione, spiesznie znowu w ziemię włażą, aby znieść jaja na trupie, którego pogrzeb tyle ich pracy kosztował. Co gdy dopełnią oddalają się znowu i obumiérają. Samczyki także zaraz po zapłodnieniu bezpośrednio żyć przestają; albowiem przyroda położyła za kres życia tym owadom, podobnie jak wielu innym, tę chwilę, w któréj dokonały rozpłodnienia swego rodzaju. — Zaledwie owi grabarze *par excellence* znikają, na ich miejsce przybywają *koleoptery* téj saméj klasy i rodzaju *(necrophorus germanicus)*. Te korzystają z owoców pracy, któréj bynajmniéj nie podzielały. Owady te całkiem są czarne, przychodzą zawsze tylko pojedynczo i zdają się być na straży przy trupie, którego skóry nie psują, wyjadając samo mięso. Także grabarze *(necrophor. germanicus)* kładą swe jaja w ścierwo kreta, którém się poźniéj płód na świat wylęgły żywi. — Wszelako te drobne żarłoki nié mają tak jednostronnego smaku, aby tylko w samych kretach znajdowały upodobanie; szczury, myszy, ptaki, koty, nawet małe pieski z równą starannością i równymże sposobem bywają przez nich pogrzebywane. Jednakowoż szczególniéjszémi zdają się być miłośnikami kretów; umieją one zwietrzyć ich ścierwo, nawet w podziemnych kryjówkach, gdzie obrzęd pogrzebu tak odprawiają, jak na wolném powietrzu. Okoliczność ta wyjaśnia nam, dla czego w podziemnych mieszkaniach kretów prawie nigdy zdechłego zwierzęcia tego rodzaju nie znajdujemy. Henryk Lecourt, najsławniéjszy z paryzkich kretołowców, którego Cadet de Vaux na świadectwo przywodzi, utrzymuje, że dwa razy tylko zdarzyło mu się widzieć takowy przypadek; raz, znalazł on samicę kreta, która w chwili rodzenia żyć przestała; drugi raz widział trzech samców nieżywo leżących około łapki, w którą ich samice powpadały. Kto wié, azali ci samce nie pozdechali z żalu i boleści; albowiem przywiązanie samca kreta do swojéj towarzyszki życia przechodzi wszelkie wyobrażenie.

(Echo de Vaucluse.)

KUKUŁKA.
Według mitologii litewskiéj.

Kukułka, podług podania gminu, najpiérwsze trzyma miejsce między nieszczęśliwémi przeobrażeńcami. Była niegdyś córka bogatego litewskiego szlachcica *(bojors)*, siostra trzech mężnych młodzianów. Czule kochała swych braci, jedyném jéj zajęciem się było o nich myśléć, ich zgadywać chęci, ich śledzić skinienia. Całe swe życie dla nich poświęcała: tkać szarfy, haftować czapraki, to jéj najmilsza zabawa, to jéj codzienne zatrudnienie. Wdzięczny uśmiech młodzianów, czułe wejrzenia, były jedyną dla jéj serca nagrodą. Szczęśliwa z oglądania braci, ich spokojnością, ich życiem żyła. Lecz los zawistny nie dał jéj długo kosztować téj słodyczy. Głos wojennéj trąby przebudził spoczynek i wezwał wszystkich Litwinów na pole sławy. Dzielny Kiejstut*) książę żmudzkiéj ziemi, powiódł swe hufce na pogromienie gnuśnych mnichów, co pod pozorem nawrócenia naszych naddziadów do wiary, szukali własnych korzyści, w imię Śgo Krzyża najeżdzając cudze krainy, łupiąc bogactwa, mordując niedołężnych starców, odrywając dzieci od łona matek, i odznaczając ogniem i mieczem swe barbarzyńskie kroki! Dźwięk żmudzkiego rożka, po odwiecznych rozlegający się puszczach, doleciał do uszu młodzianów. — Wyjechali na wojnę. — Ze łzami pożegnała ich siostra, i jak na prawą Litwinkę przystoi, życzyła zwycięztwa nad wrogiem... — Skończyła się wojna, pierzchnął za Niemen przeklęty Krzyżak, poszczerbione litewskie pałasze na karkach dumnych zakonników spoczęły w pochwach, wrócili rycérze nasi. Lecz gdzież są mężni młodzianie? darmo ich śledzi łzawe siostry oko; — padli na polu walki. Konie ich tylko, pozbawione drogiego ciężaru, przybiegły w domową zagrodę. Stroskana Litwinka po stracie swych braci, opuściła mieszkanie ojca, gdzie wszystko przypominało drogie sercu przedmioty, zabrawszy z sobą konie poległych młodzianów, udała się do lasu, aby tam resztę opłakanego dokończyć żywota. Długo się tułała na puszczy, przepędzając dni rozpaczy w płaczu i jękach, aż też najwyższe Bóstwo, ulitowawszy się nad nieszczęsną, przemieniło ją w *kukułkę*. I odtąd ciągle na wiosnę, w tym czasie kiedy polegli młodzianie, wywiéra żal swój i smutném kukaniem opłakuje zgon braci. Taka jest powieść o kukułce na Żmudzi i w Litwie.

* * *

W Litwie na cześć *kukułki* i teraz jeszcze obchodzą święto. Dnia trzeciego Wielkiejnocy zbiéra się z całéj wsi młodzież do jednego domu, śpiéwa rozmaite pieśni, poczem następuje taniec zwany po litewsku *giaguży*. Tym tańcem przewodzi jedna dziewica *(giegiely*, kukułka), celująca pięknością nad inne. Stawają wszyscy w koło, śród którego, z zawiązanémi oczami, siedzi na krześle bohatérka uroczystości. W tém położeniu pląsają wszyscy. Po każdém przetańczeniu mężczyzni zbliżają się do siedzącéj, i wziąwszy jéj rękę spiéwają:

Karaluny giegiely kuku, kuku!
Asz tawa brolalys kuku kuku!

Po polsku: Królowo kukułko kuku, kuku!
Jam twój braciszek, kuku kuku!

Siedząca, zgadując po głosie tych, którym najbardziéj sprzyja, wybiera trzech młodzianów, odwiązuje sobie oczy, i przez cały dzień tańcuje z nimi. Przy rozstaniu się daje im swojéj roboty pstre pasy, młodziany zaś wzajemnie czynią jéj podarunek. I odtąd dziewica młodzianów nazywa swojemi braćmi, a oni ją siostrą.

L. A. J. (T. P.)

Wystawa sztuk pięknych w ces. aust. akademii w Wiédniu 1836 r. W ogóle wystawa tegoroczna dowiodła postępu w sztukach pięknych. Portrety, rodzajowe malowidła *(genre)* i krajobrazy były tak wyborne, że mogły stanąć obok najlepszych prac krajowych artystów, w piérwszych latach tego zakładu. Wszystkie płody sztuk pięknych t. j: litografije, ryciny, olejne malowidła, rzeźby i t. d. zapełniały siedem salonów; w liczbie 355.

Z Pragi. Wybity został medal pamiątkowy na cześć s nego naturalisty Kaspra hr. Sternberga, c. k. tajnego radzcy, założyciela i prezydenta narodowego Muzeum czeskiego w Pradze. Strona główna medalu niesie na sobie popiersie hrabiego z napisem: *Casparus Comes Sternberg, nat. Pragae VI. Jan. MDCCLXI.* — *Jos. D. König f.* — Strona odwrotna ma wśród wieńca, uwitego z kwitnącego łomikamieńca *(saxifragi)* napis: *Naturae et Florae utriusque scrutator indefessus.* Ten medal odbity został w Berlinie. A.

---

*) Litwini, a szczególniéj Żmudzini, wszystkie zdarzenia odnoszą do czasów panowania Kiejstuta. Mężny ten książę i Krzyżacy największą rolę grają w ich narodowych powieściach.

Donoszą ze Stuttgardu, że P. Cotta zakład »Gazety Powszechnéj« przenosi z Augsburga do Stuttgardu. Na ten cel gmach został już przygotowany.

Baron Elsholz napisał trajedyję pod tytułem: Kordowa; krytyk, p. Saphir, pisząc o niéj zdanie, przytoczył kilka wierszy, jako dowód nadętości stylu, wiersze te, na polskie tłumacząc, tak brzmią:

»Oczy me nie chcą patrzéć, o straszliwa doli!
Na tę, co ich zmieniła na kopalnię soli,
A serce na ognisko męczarni i żalu,« i t. d.

i dodaje: »to bardzo pięknie, oczy kopalnią soli, serce ogniskiem, można jeszcze dodać, pierś hamernią, usta sieczkarnią, nos kominem i t. d.

Ogół sił literackich w Niemczech, pisze *dz. Fenix*, w ostatnich czasach podzielił się między nauki przyrodzone i historyję, a co piérwéj było tylko udziałem jednéj cząstki publiczności, dzisiaj cały narod zbliska obchodzi. Nie mało przyczyniło się do uczynienia popularnémi tych dwóch umiejętności, będących zasadą wyższego życia, wysokie stanowisko, na jakiém, po długowiecznem nagromadzeniu materyjałów, postawili takowe jenijalni mężowie, w ten sposób, że nauka przyrodzona, która dawniéj sam tylko pożytek przemysłowy miała na celu, dzisiaj w części opanowała krainę historyi człowieczeństwa, a mianowicie człowieka w szczególności. Cuvier i Ritter dopełniają się wzajemnie. Oken i Kreutzer, co do istoty swojéj, należą do siebie, jakkolwiek ostatni odrębnym się być wydaje. Żywotna zasada nauk przyrodzonych wyrobiła się w nie małą rzecz, bo udoskonaliła świat umysłowy. Dla tego też pojmujemy, co za przyczyna, dla któréj np. dzieła Okena, Littrowa i innych tak prędko się rozchodzą. Nie należy tu przepomnieć o macierzyńskiéj pieczołowitości, z jaką od dawna zajęto się naukami przyrodzonémi w Austryi, mianowicie w zakładach naukowych. (Słuszna pochwała, z tém wszystkiém *avis rara!*)

Lord Wharncliffe, prawnuk lady Mary Wortley Montagu, zajmuje się wydaniem dodatku do listów téj sławnéj kobiety, który zawiérać będzie około 120, dotąd nieznanych i ukrywanych listów. Do tego dołączy jeszcze opis, przez nią uczyniony dworu Jérzego I. w czasie wstąpienia jego na tron, jakotéż i charakterystyczne przedstawienie stronnictw, działających w Anglii na ówczesnéj politycznéj scenie. Ostatnie te pamiętniki są dziełem syna téj sławnéj lady, pana Wortley Montagu, który później powrócił do Turcyi, gdzie jego matka tyle romantycznych doświadczyła przygód, i Muzułmanem został. Wiele także miejsc dotąd opuszczonych, jakotéż i imion, oznaczonych piérwszą głoską w drukowanych dawniéj listach pani Montagu, w teraźniéjszém wydaniu dopełnionych będzie.

Jeden z księgarzy londyńskich ma 60 pomocników, zatrudnia 200 drukarzy i introligatorów, wydaje 40,000 talarów na obwieszczenia swoich książek, a do roku sprzedaje prawie więcéj niż 500,000 tomów.

Dnia 27go zeszłego marca, powiesił się w swojém mieszkaniu w więzieniu Limerik, wykonawca sprawiedliwości tamecznego hrabstwa James Ryan, 86letni. Przyczyna tego samobójstwa jest prawie nie do uwierzenia. Ryan, będąc katem przez ostatnich 38 lat swego życia, tak namiętnie lubił obowiązki swego urzędu, który miał za jeden z najszlachetniejszych w społeczności ludzkiéj, iż chciałby był co najczęściéj je sprawować i długa nieczynność stawała mu się nieznośną. Od dwóch lat nié miał sposobności rozwinienia swego talentu; gdy na ostatniém posiedzeniu miejscowego sądu karnego wytoczyła się sprawa, obiecująca mu dać zatrudnienie. Na nieszczęście, z dwóch obwinionych, sąd uznał jednego niewinnym, a drugiego skazał na wygnanie. Ryan, który z największą pilnością słuchał sprawy, i już był zrobił przygotowania do exekucyi, nie mógł przeżyć tego ciosu i po ogłoszeniu wyroku co prędzéj się powiesił.

W Ameryce, szczególniéj w obwodzie Termeseńskim, znowu znaleziono wiele monet rzymskich w ziemi, na których znajduje się napis Marka Aureliusza! Jeżeli Amerykę dopiero za Kolumba odkryli pierwsi Europejczykowie, zachodzi pytanie, jakim sposobem monety cesarza Rzymu tamże się dostały!«

I l u m i n a c y j e u s t a r o ż y t n y c h. Największe i najdawniejsze iluminacyje odbywały się w Egipcie. Co roku, jak powiada Herodot, podczas pewnego święta, pod gołém niebem dokoła domów zapalano mnóstwo lamp. Święto owe nazywało się: Palenie lamp, równie jak u Chińczyków, gdzie obchodzą: święto latarni. Kto publicznie nie mógł być obecnym na tych ofiarach bóstwu, obchodził tę noc w domu, który oświécał lampami. A to się działo w całym Egipcie, mówi ojciec historyków. Wyobraźmyż sobie ową iluminacyję we wszystkich licznych i zaludnionych miastach od Tebów, aż do ujścia Nilu, wzdłuż całéj doliny Nilowéj, i spytajmy się, czy za naszych czasów widzieliśmy co podobnego?

P o s t r z e ż e n i e c h i r u r g i c z n e. Sławny chirurg sir Astley Cooper w Londynie uczynił doświadczenie, że pijacy piwa z profesyi nadzwyczajnie są dotkliwi na wszystkie zewnętrzne skaleczenia się, i że chirurgiczne operacyje, dla innych nieszkodliwe, dla nich utratą życia grożą. Dz. *Lancet* utrzymuje nawet, że londyński piwny suszy-kufel byle się w palec zadrasnął, może to życiem przypłacić. Teraz pytanie czyli nasze piwo wywiéra podobny wpływ zabójczy, jak angielski porter?

K a n t i F r a n k l i n. Kant utrzymywał pewnego razu: »Żaden rozsądnie myślący człowiek, po dojrzałéj rozwadze nad marnością rzeczy ludzkich, nie chciałby raz drugi zaczynać ziemskiego życia, chociażby to w jego mocy było.« Przeciwnie znowu mówi Franklin o sobie: »Ilekroć, co się często zdarza, rozmyślam nad sobą, powtarzam w duchu, że gdyby można, chętniebym długi zawód od końca do końca, raz jeszcze przebył. Prosiłbym o jednę tylko wolność, jaką autorowi dają przy powtórzoném wydaniu jego dzieła, to jest: błędy jakie się wkradły, sprostować. Nadto życzyłbym sobie kilka drobnych przypadków, i okoliczności z mego życia, na lepsze zamienić. Z tém wszystkiém, chociażby te warunki przyjętemi nie były, jabym jeszcze się nie wahał drugi raz życie zaczynać.« Zkądże ta różność życzeń? Oto: Franklin i wszyscy, którzy jak on myślą, prowadzą życie czynne, twórcze, rzeczywiste; a to wszystko przywiązuje do świata i ludzi, i uczy ich kochać i cenić, a czego życie spekulacyjne, idealne, nie uczy. Mąż czynny, poświęcający się dla drugich, przemijającego doświadcza tylko nieukontentowania, kiedy świat nie czyni tego, co on dla jego d o b r a pragnie; przeciwnie głowa spekulacyjna nigdy nie jest zadowoloną ze świata, któryby nigdy podług jéj marzeń postępować nie mógł.

M o d y. Małe bransoletki zaczynają bardzo w modę wchodzić, nawet używane są do negližów; zwykle bywają filigranowéj roboty, lub z łańcuszków, zamykane kamea, albo jakim drogim kamieniem. Najmodniejsze rękawiczki są jasno-szare, zapinane na złoty guziczek. Klejnoty utrzymują się ciągle w modnym świecie paryzkim, tak dalece, że wartość drogich kamieni poszła w górę. Nowych materyj nadzwyczajnie pojawiło się mnóstwo, najznajomsze są: tkanina smyrneńska, z włosa kóz i jedwabiu, kratkowana i nadzwyczajnie cienka; gaza sułtańska, bardzo lekka, wybijana, służy tylko do gali; gotycki *pekin*, i materyja argentyńska.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.